

Lecz Mark absorbował ją do tego stopnia, że chyba mnie nawet nie usłyszała. Za każdym razem, kiedy wybuchał śmiechem, Stella też odsłaniała ząbki i parskała z uciechy. Kiedy odrzucił do tyłu swoje dość długie włosy, głowa Stelli powtórzyła jego ruch. Gdy oparł rękę na biodrze, szczupłe ramię Stelli mogłoby być jej cieniem.

Dwaj młodsi chłopcy wdali się w jakąś głupią bójkę i jeden z nich wpadł na Stellę, która zdzieliła go ostro łokciem i zmęła w ustach wyzwisko.

Mark odwrócił wzrok.

– Kogo my tu widzimy! Migotka!

Migotka! Spodziewałam się, że Stella wybiję mu zęby jednym ciosem, ale ona rozpląnęła się w przymilnym uśmiechu.

– Cześć, Mark – powiedziała głosem słodkim jak miód.

Pomachał do niej końcami palców i rzucił coś półgłosem do swoich kumpli. Wszyscy zarechotali.

Nie wiem, czy Stella usłyszała, co powiedział, ale się zaczerwieniła. Pochyliła głowę, kryjąc twarz we włosach, jednak nadal tam stała. I czekała. Kiedy wreszcie prawie wszyscy kumple Marka weszli do środka, Mark otoczył Stellę ramieniem

– Dasz się zaprosić na frytki, Migotko?

– Może poczęstuję się twoimi?

– Nie chcesz własnej porcji? Ja płacę.

– Jaki ty jesteś kochany! – Z rozbrajającym uśmiechem przyjęła propozycję; miód niemal ściekał po jej podbródku. – Albo wiesz, co? Mógłbyś mi kupić deser lodowy?

– Jasna sprawa.

Weszła do McDonalda, ciągle z ramieniem wciśniętym pod jego pachę. Nawet na mnie nie spojrzała.

Kopnęłam listwę przypodłogową w progu. A co ze mną?! To szczyt niesprawiedliwości! Ja też uwielbiam desery lodowe. Stella lubi czekoladowe, obojście wolę karmelowe. Oblizywałam się na samą myśl o lodach, taką straszną miałam na nie ochotę.

– I komu pokazujesz ten język, mała? – spytała opryskliwie wyraźnie zirytowana Janice Taylor.

Pod jej adresem wywaliłam jęzor tak daleko, jak umiałam.

– Bezczelna gówniara! Co to za jedna? – zapytała koleżanka Janice.

– Młodsza siostra tej całej Stelli; ciągle włóczy się pod naszą szkołą.

– A Stella to ta z długimi włosami, tak? – Koleżanka kiwnęła głową w stronę Stelli i Marka, którzy stali przy ladzie.

– Nie mam pojęcia, co Mark w niej widzi – skrzywiła się Janice. – Szczerzy się do niego jak idiotka przez cały czas, aż się niedobrze robi. Czemu on się prowadzi z taką małolată?

Koleżanka szepnęła jej coś na ucho i obie zachichotały.

Jeszcze raz wywiesiłam w ich kierunku cały język, gorliwie wymachując nim na boki.

– Uwważaj, bo cię zamkną w wariatkowie – ostrzegła mnie Janice.

Objęła swoją koleżankę w pasie i poszły sobie. Jak na komendę schowałam jęzor; wyraz „wariatkowo” był jak uderzenie obuchem w głowę. Ugryzłam się w język, żeby odpędzić tę myśl.

– Co ty wyprawiasz? – syknęła Stella. Wciągnęła mnie do McDonalda i posadziła przy stoliku w kącie; przede mną postawiła deser lodowy.

– To dla ciebie – powiedziała. – Siedzę z Markiem kawałek dalej, w porządku?

Pobiegła do niego z powrotem i przykleiła się do jego boku. Sama nie miała nic do jedzenia. Gapiłam się tępo w mój deser. Zamówiła karmelowy.

Delektowałam się każdą łyżeczką, oblizując ją obolałym językiem. Byłam pewna, że Stella jest tak samo głodna jak ja. Od czasu do czasu Mark częstował ją frytką, ale kazał jej prosić o nią jak psu. Stella robiła to z prawdziwym wdziękiem, przechylając głowę na bok, błagalnie zwijając przed sobą ręce w piastki i udając psie posapywanie, a jednak cierpła mi od tego skóra.

A później było jeszcze gorzej. Stella i Mark wybrali się na spacer alejką na tyłach Bootsa, przy którym musiałam zostać, całą wieczność gapiąc się na szampony i okulary. Ciągle byłam głodna, a język pulsował mi z bólu. Wystawianie

przed witryną w końcu mnie zmęczyło, więc przysiadłam na kamiennym krawężniku, chociaż chłód przenikał przez materiał moich dżinsów. Czułam się tak, jakbym siedziała na brzegu gigantycznej kadzi lodów.

Kiedy Stella wreszcie wróciła, trzęsłam się z zimna.

– Finka, wstawaj, bo dostaniesz wilka od siedzenia na chodniku.

– Gdzie Mark?

– Poszedł na spotkanie z jakimiś innymi kolegami. I co o nim myślisz? Czy nie jest fantastyczny?

– Nie.

– A właśnie, że tak! To najprzystojniejszy chłopak w całym Londynie! Każda chciałaby z nim chodzić! Janice Taylor wścieka się z zazdrości!

– I co tam robiliście?

– A jak myślisz? – Stella odpowiedziała pytaniem na pytanie. Zauważyła mój wyraz twarzy. – Nic się nie martw, Finka, naprawdę. Obściskiwaliśmy się tylko.

Słowa „obściskiwać się” napełniły mnie obrzydzeniem; brzmiały obleśnie, wręcz świńsko. Stelli i Markowi natychmiast wyrosły świńskie ryje, obwisłe sadło i wstrętne, zakręcone ogonki. Wyobraziłam sobie, jak się nawzajem czochrają tymi ryjami i zrobiło mi się niedobrze.

– Finka? – Stella objęła mnie ramieniem.

– Spadaj!

– O co ci chodzi?

– Nie podoba mi się to, co wyprawiasz z tym Markiem!

– Zwyczajnie mi zazdrościsz!

– Skąd! I nie chodzi mi tylko o Marka, ale o całe to towarzystwo. Bardzo się zmieniłaś.

– Po prostu wydorostałam.

– Ciagle nie jesteś wystarczająco dorosła, żeby ten Mark obśliniał cię od góry do dołu. Powiem wszystko Marigold!

Stella tylko się zaśmiała.

– I co mi zrobi, jak sądzisz? Założę się, że sama pozwalała sobie na dużo więcej, kiedy była w moim wieku.

– Myślisz, że wróci dziś na noc do domu? Obiecała.

– Obiecanki-cacanki, w kółko ta sama śpiewka.

Wszystko wskazywało na to, że Marigold złamie kolejną obietnicę. W domu byliśmy przed dziesiątą; zjadliśmy sałatkę z kurczakiem i przygotowaliśmy się do snu. Po zmyciu makijażu i przebraniu się w starą koszulę nocną z misiaczką Stella podobała mi się dużo bardziej; była w tak świetnym humorze, że jeszcze pobawiła się ze mną pluszowymi misiami, udając ich mrukliwe głosy.

– A pamiętasz mojego misia? Tego dużego, żółtego, w kubraczku w kratkę? – zapytałam, głaszcząc się po nosie moim jedwabnym szalikiem. – Tak bardzo mi go brakuje.

– Kupię ci nowego na Gwiazdkę.

– Nie, nie chcę nowego misia. Chciałabym mieć z powrotem mojego Uszatka. I różne inne rzeczy: stare książeczki z obrazkami i moją lalkę Barbie, i wszystkie jej ubranka.

– Uwielbiałam moją Barbie – a ty obydwie ostrzygłaś na zero! Rany, ale byłam wtedy wściekła! A później nawet mi się spodobało, że moja Barbie jest skinheadem i z czarnej plasteliny zrobiłam dla niej parę malutkich oficerek, pamiętasz?

– Pamiętam. Ale już ich nie mamy. A ja chciałabym mieć je z powrotem, tutaj... – Bezradnym gestem wskazałam nasz pokój.

Był to najlepszy pokój, w jakim kiedykolwiek mieszkaliśmy, i bardzo się nam podobał. Nie było w nim wprawdzie zasłon ani dywanu, lecz Marigold kupiła ogromny kubeł ciemnoniebieskiej emulsji, którą pomalowałyśmy ściany i sufit. Na ścianach Marigold wyczarowała ocean z wielorybami, rekinami, rafą koralową, na której siedziały syrenki, i całą ławicą rozbrykanych delfinów, a sufit przerobiła na niebo – wdrapała się na drabinę i spędziła na niej cały dzień i pół nocy, wymalowując Drogę Mleczną, Syriusza, Plejady, Wielką i Małą Niedźwiedzicę oraz dużą i bardzo jasną Gwiazdę Polarną, lecz i tak największą i najjaśniejszą gwiazdą na naszym suficie była gwiazda pięcioramienna, taka sama, jaką Marigold nosi wytatuowaną nad sercem.

Był to najpiękniejszy pokój, jaki dwie dziewczyny mogłyby sobie wymarzyć. Tak

naprawdę wcale nie zależało mi na tym, żeby został zagracony starymi zabawkami nadgryzionymi przez mole, żałowałam tylko, że nie udało nam się zachować więcej naszych rzeczy. Bywało, że drogie, nowe zabawki musiałyśmy oddawać z powrotem do sklepu. Bywało, że nasze rzeczy padały łupem złodziei. Bywało i tak, że różne mieszkania trzeba było opuścić nocą, po kryjomu, zabierając ze sobą jak najmniej bagaży.

Pomyślałam o wszystkich naszych porzuconych zabawkach, rozsianych po całym Londynie i okolicy, i zrobiło mi się ciężko na sercu.

– Ciekawe, co się z nimi stało? – zapytałam głośno.

Wyobraziłam sobie, jak trafiają do śmieciarki, zostają wywiezione na jakieś wstrętne wysypisko i wyrzucone na stertę śmieci; leżą tam teraz, całe ubabrane w cuchnącej mazi wyciekającej z kartonowych pudełek po daniach na wynos, mewy wydziobują Uszatkowi jego szklane oczy, a szczury zżerają resztki włosów Barbie. Kiedy usłyszaliśmy, jak zegar wybija północ, a Marigold nadal nie było w domu, Stella pozwoliła mi przyjść do swojego łóżka. Zasnęłam, wtulając się w misiaczki na jej plecach i śniłam, że wrzucono nas obie do śmieciarki. Śmieciarze gładzili brudnymi paluchami włosy Stelli i wylizali jej twarz do czysta, po czym posadzili ją na desce rozdzielczej jak maskotkę przynoszącą szczęście. Mnie rzucili na górę śmieci; zapadłam się w tych brudach po pachy, wrzeszcząc imię Marigold na całe gardło. Nie przyszła. Nie przychodziła mi na pomoc, chociaż wołałam ją tyle razy i wydierałam się wniebogłosy...

– Marigold!

– Jestem, Finuś, jestem; już wszystko dobrze, jestem przy tobie, kochanie. Co ja mówię, jest o niebo lepiej niż dobrze! Obudź się. Stello, skarbie, ty też się obudź!

Marigold zapaliła światło; zrobiło się tak jasno, że z początku nie widziałam zupełnie nic. Przylgnęłam do niej z całej siły, mrużąc oczy, tak że wyglądały jak maleńkie szparki. W jej oddechu wyczułam alkohol, ale wyglądało na to, że Marigold jest w dobrej formie, chociaż lekko drżała. Tuliłam się do niej mocno, lecz ona nie poświęcała mi wiele uwagi.

– Stello! Stello, słoneczko, wstawaj! No już! – Marigold przechyliła się nade mną i odgarnęła włosy z twarzy Stelli. – Stello, chciałabym ci kogoś przedstawić. – Głos Marigold łamał się z emocji, ledwie udawało jej się wymówić poszczególne słowa. – To jest właśnie Micky, twój ojciec!

Obie aż się poderwałyśmy i usiadłyśmy na łóżku, robiąc na Micky'ego wielkie oczy. Było tak, jakby na specjalną przepustkę z nieba wpadła do nas z wizytą księżna Diana we własnej osobie – odkąd sięgam pamięcią, Marigold zawsze opowiadała nam o Mickym, ale nigdy tak do końca w niego nie wierzyłyśmy.

– To naprawdę ty? – odezwała się niepewnie Stella, gapiąc się na nieznanego. Chociaż, szczerze powiedziawszy, Micky wyglądał dosyć znajomo. Był wysoki i szczupły, tak jak Stella, z dłuższymi, opadającymi na ramiona, jasnymi włosami. Miał oczy niebieskie jak bławatki, prosty nos, sympatyczny uśmiech od ucha do ucha i dołek w tylko jednym policzku. Ubrany był w czarny T-shirt i czarną, skórzaną kurtkę, czarne dżinsy i czarne buty. Na nadgarstku jednej ręki nosił cienką, srebrną bransoletę, a na palcu drugiej – ozdobny, srebrny sygnet.

– Mój... tata? – zapytała szeptem Stella.

Nie wyglądał na niczyjego tatę. Wyglądał jak rockman.

Zerknął na Marigold. Skinęła głową.

– Twój tata, Stello – odpowiedział.

– O rany – wybąkała Stella. – Nie mogę w to uwierzyć!

– Ja też – przyznał Micky. – W ogóle nie miałem pojęcia, że zostałem ojcem! To niesamowite! Spotkałem dziś ciebie, Marigold, a teraz spotykam moją córkę! – Przez moment zatrzymał wzrok na mnie. – Hej, malutka, ty też jesteś moja?

– Nie, to jest Delfina – przedstawiła mnie Marigold.

– Cześć, Delfino. Fajne masz imię – powiedział Micky, wpatrując się już z powrotem w Stellę. Był nią wyraźnie urzeczony.

– A nie mówiłam?! – wytknęła Marigold Micky'emu. – A nie mówiłam?! – powtórzyła do Stelli. Była taka podekscytowana, że prawie skakała po mieszkaniu na swoich wysokich obcasach.

Stella i Micky nie odrywali od siebie oczu, zupełnie jakby chcieli nauczyć się siebie nawzajem na pamięć. Wyglądało to tak, jakby oboje razem z Marigold

znaleźli się we wnętrzu olbrzymiej, tęczowej bańki mydlanej unoszącej się w powietrzu.

Ja zostałam na zewnątrz bańki, na ziemi. Nie byłam częścią tej rodziny.

– Nie wstaniecie, dziewczynki? – zaproponowała Marigold. – Mogłabym przygotować dla nas coś na ząb. A ty nie jesteś głodny, Micky?

– Kurczaka już zjadliśmy z Finką – uświadomiła jej Stella. – Ale, ale: jak wy się w ogóle odnaleźliście? Na koncercie musiały być przecież tysiące ludzi!

– I były – powiedziała Marigold. – A jednak go znalazłam. Wiedziałam, że mi się uda! Wiedziałam nawet, gdzie go szukać!

– No tak, spojrziałś w swoją kryształową kulę – zażartował Micky.

Marigold zaśmiała się cicho.

– Pamiętałeś!

Na środku brzucha Marigold ma wytatuowaną piękną, długowłosą czarownicę w powłóczystych szatach. Czarownica wpatruje się w skupieniu w kryształową kulę, którą tak naprawdę jest pępek Marigold, otoczony precyzyjną, czarną kreską.

– Ta czarownica z kryształową kulą to był mój pomysł – pochwalił się Micky. – Sprawdźmy, jak się miewa.

Marigold podciągnęła bluzkę, chichocząc. My też zerknęłyśmy.

– Jest wspaniała. Sobie też taką zrobiłam, ale moja przegina się w inną stronę i jest bardziej celticka – powiedział Micky, prezentując nam swój sygnet.

– Sam go zrobiłeś! – wykrzyknęła Stella.

– Micky zajmuje się teraz jubilerstwem, ma własną firmę – zakomunikowała nam z dumą Marigold. – Sam projektuje wszystkie wzory.

Micky wręczył swój pierścień Stelli.

– Jaki piękny! – zachwyciła się, trzymając go z należytym respektem i badając uważnie każdy szczegół. Też chciałam zobaczyć, ale odepchnęła mnie łokciem na bok. – Zasłaniasz mi światło, Finka. – Delikatnie wodziła palcem po wyrafinowanym wzorze sygnetu; dotknęła nawet wnętrza pierścienia, jeszcze ciepłego od palca właściciela.

– Mogę przymierzyć?

– Jasne.

– Jest dużo za duży – uśmiechnęła się, obracając sygnet na palcu.

– Bo ty jesteś bardzo malutka – uśmiechnął się Mi-

cky. – Ile masz dokładnie lat, Stello? Naprawdę trzynastcie? Wydajesz się taka maleńka!

– Twoja mała córeczka – wyszeptwała Marigold modlitewnie.

Stella dokładała wszelkich starań, żeby wyglądać dorośle, więc pomyślałam, że teraz się zirytuje, ale, o dziwo, uwagi Micky'ego najwyraźniej nie sprawiły jej przykrości. Spoglądała na niego spod grzywy swoich jasnych włosów. Ścisnęło mi się serce, ledwie mogłam oddychać. Wiedziałam, że powinnam się cieszyć, że Stella odnalazła swojego ojca, jednak nie potrafiłam znieść wzroku, jakim na nią patrzył.

– Nie mogę uwierzyć własnemu szczęściu! – cieszył się Micky.

Może nie chodziło mu tylko o to, że jest szczęśliwy, bo dowiedział się, że ma córkę. Może wyrażał radość z faktu, że jego córką jest śliczna jak elf blondyneczka, a nie karlica o wyglądzie głupiej, szarej myszy.

– Wszystko się może zdarzyć! – zaintonowała Marigold, tańcząc po pokoju.

Prężąc się jak czarownica wytatuowana na jej brzuchu i wyrzucając w górę ramiona, Marigold z rozwianymi rudymi włosami wyglądała wyjątkowo pięknie, lecz mimo to Micky rzucił jej dziwne spojrzenie.

– Wszystko może zdarzyć się! U-uuu! – śpiewała Marigold.

Zauważyła mój wyraz twarzy i wyciągnęła mnie z łóżka, próbując mnie nakłonić do wspólnych płasów. Potykałam się i zataczałam, czując się strasznie głupio i martwiąc się o moją koszulę nocną, która nie dość, że za krótka, żeby w niej tak fikać, to jeszcze do tego była okropnie brudna.

– Zatańcz ze mną, Finuś, nie daj się prosić! Masz swój udział w tym wydarzeniu!

– wołała Marigold. – To przecież ty znalazłaś szczęśliwą czterolistną koniczynkę! Zaraz, zaraz, a może zrobię sobie nowy tatuaż w kształcie koniczynki o czterech listkach? Czwórka będzie moją nową szczęśliwą liczbą, wyraża równowagę doskonałą, tak jak doskonale zrównoważona jest cała nasza wesoła gromadka, czy nie tak, skarbie? – szczebiotała, obracając mnie dokoła coraz

szybciej i szybciej.

– Myślę, że powinniśmy coś zjeść, Marigold. Jesteś odrobinę, fakt, że doprawdy zachwycająco, wstawiona – stwierdził Micky.

– Nie jestem wstawiona, nie zostałam wystawiona, nie jestem wstrząśnięta, ani nawet zmieszana, całe życie mi się rozsypało, ale znowu wyszłam z tego cało, czuję się jak nowo narodzona, ba, lepiej! – paplała Marigold.

– Zobaczę, co da się zrobić – powiedziała szybko Stella, chociaż obie dobrze wiedziałyśmy, że w lodówce zostało tylko kilka listków sałaty, a chleba ledwie starczy na grzanki na jutrzejsze śniadanie.

– To może zjemy pizzę? – zaproponował Micky.

Był środek nocy, lecz Micky znał numer pizzerii czynnej przez całą dobę; zadzwonił ze swojego telefonu komórkowego i zamówił pizzę do domu.

– Jaka lubisz najbardziej, malutka? – zapytał Stellę.

– Z dodatkową porcją sera i podwójnym ananase.

Aż cofnął się ze zdumienia.

– Dokładnie tak, jak ja! To po prostu nie do wiary!

– I jak ja – oświadczyła Marigold, która wcale nie lubi pizzy.

– A ty, Delfino?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Też lubię pizzę z serem i ananase, zawsze taką zamawialiśmy, ale gdybym teraz i ja o nią poprosiła, wyszłabym na żalosa, małą papugę.

– Chciałabym... pizzę z pieczarkami. I papryką. Jeśli można – baknęłam.

Był to poważny błąd. Na nasze pizze musieliśmy czekać całe wieki. Czułam to mdlące, wewnętrzne rozdygotanie, które dopada mnie zawsze, kiedy wstaję w nocy. Zapach ostro przyprawionego ciasta był dosłownie obezwładniający. Stella i Micky z apetytem zabrali się za swoje pizze, prowadząc długą i ożywioną dyskusję o swoich kulinarnych sympatiach i antypatiach, z radością witając każdą, nawet najbardziej oczywistą, zbieżność upodobań. No bo kto nienawidzi czekolady, a przepada za brukselką?

O tym, że nienawidzę pieczarek, przekonałam się zbyt późno. Grzyby na mojej pizzy były brunatne, obślizgłe i do połowy zanurzone w sosie; wyglądały jak kolonia ślimaków, które wpełzły do pudełka z pizzą i zagnieździły się na cieście. Próbowałam jeść tak, żeby je ominąć – z gardłem ściśniętym na wypadek, gdybym jednak któregoś połknęła. Papryka też nie okazała się trafnym wyborem. Jaskrawe czerwone i zielone paski wyglądały ładnie, ale smakowały wstrętnie i były okropnie ostre.

– Daj spokój – syknęła do mnie Stella. Spojrzała przepraszająco na Micky'ego. – Jest po prostu śpiąca.

Marigold ledwie skubnęła swojej pizzy. Podeszła do szafki i schyliła się. Stojąc plecami do nas, pociągnęła zdrowy łyk wódki. Może myślała, że robi to dyskretnie.

Nie mogłam na nią patrzeć.

– W takim razie ja później też sobie golnę – oświadczył Micky, patrząc na Marigold i z dezaprobatą kręcąc głową.

– To tylko szczeniaczek na dobranoc – powiedziała Marigold. – Czas do łóżek.

Spójrz na biedną Finkę, oczy zamykają jej się same.

– Tak, chyba już czas. – Micky przełknął ostatni kawałek pizzy i wstał z miejsca. Wyciągnął rękę i pogłaskał Stellę po jej długich, lśniących włosach. – Kiedy będę mógł wpaść, żeby znów się z tobą zobaczyć? – zapytał, jakby umawiał się z nią na randkę.

– Co takiego? – nie mogła uwierzyć Marigold. Następnym kieliszek wychyliła całkiem otwarcie. – Micky, o czym ty w ogóle mówisz? Chyba nie wychodzisz?!

– Skarbie, jest druga w nocy.

– Przestań! Zostajesz! – zażądała. – Zostajesz z nami na dobre.

– Przyjdę jutro – obiecał Micky.

– Nie! – Marigold mówiła zdecydowanie za głośno. – Nie możesz teraz odejść! – podniosła głos prawie do krzyku.

Micky rzucił jej kolejne dziwne spojrzenie. Nie kwapił się usiąść z powrotem. Ale wtedy Stella schwyciła go za rękę.

– Zostań, proszę – szepnęła.

Jego twarz złagodniała.

- No dobrze - powiedział. Zauważyłam, że mocno uścisnął jej rączkę. Gdyby poprosiła go, żeby wyskoczył przez okno, nawet by go przedtem nie otworzył.

Marigold wyprowadziła Micky'ego z naszej sypialni. Stella i ja wróciłyśmy do łóżka, ale żadna z nas nie mogła zasnąć. Opatuliłam się kołdrą po same uszy i schowałam twarz w jedwabnym szaliku.

- To nie do wiary - szeptała Stella.

- Myślę, że Micky jest... dokładnie taki, jak nam opowiadała.

- Jest lepszy! Nigdy jej nie wierzyłam, a tu się okazuje, że jednak miała rację. Nic dziwnego, że nudziła o nim bez przerwy. I to jest właśnie mój tata!

- Ale przez cały ten czas niezupelnie zachowywał się jak ojciec, prawda? - zauważyłam kwaśno, po części pod wpływem dokuczliwego ściskania w żołądku.

- O co ci chodzi?

- Nie utrzymywał z tobą żadnych kontaktów, nie zabierał cię do siebie i nie robił wszystkich tych rzeczy, które są zwykle domeną ojców. Wcale go nie krytykuję, mój tata też się nie wykazał, tylko że...

- Tylko że wygadujesz bzdury! - stwierdziła Stella. - Przecież nawet nie wiedział, że istnieję, sama słyszałaś. Był w ciężkim szoku! Założę się, że w ogóle nie miał pojęcia, że Marigold spodziewa się dziecka. Musieli się rozstać, zanim zdażyła mu powiedzieć.

- Rzucił ją - powiedziałam. Skuliłam się jeszcze bardziej, naciągając szalik na twarz tak mocno, że aż spłaszczył mi nos.

Stella z początku nie odezwała się ani słowem, już myślałam, że zasnęła. Jednak po jakiejś minucie oświadczyła:

- Ale mnie nie porzuci.